№ 19. Warszawa, dnia 9 Maja (27 Kwietnia) 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

A. Lange.

SONETY.

I.

Przeklęty, który w oczy patrząc się kobiecie,
Co w sercu miała uśmiech, w rumieńcach jagody,
A na wargach szept kocham — i świąteczne gody,
Lodem spojrzeń zamroził te słoneczne siecie.

Przeklęty, który zdeptał białe lilii kwiecie,
Co się doń otwierało; co ptaszynie młodej
Zdusił śpiewny gardziołek; co rajskie ogrody
Zamknął sam, by się tułać samotny po świecie.

Przeklęty, co nie pojął słowa pieśni świętej,
Co zapomniał najświętszej serc człowieczych gamy,
Najświętszej pieśni wiosny — tęczy — gajów ciszy;

Przeklęty, choćby błagał na kolanach zgięty,
Drugi raz tego słowa, melodyi tej samej —
Z tych samych ust już nigdy, nigdy nie usłyszy!

II.

Nie wiem, czy ty przebaczysz mojej duszy chorej,
Że takie ci okrutne zadawała rany:
Lecz duch mój walką życia tak dziwnie złamany,
Że ślepy na anioły — widzi wciąż upiory.

Od kolebki mię ściga przez lasy i bory
Zły duch—przeznaczeń moich, zły duch opętany
I każe mi odpychać wszystkie złote zmiany
I wiecznie mi żałobne wygrywa nieszpory.

We wszystkiem, co mi święte — gorycz sobie wróżę;
Wszystko, co mi najdroższe — ja odpychać muszę,
Szczęście, co idzie ku mnie — jak szaleniec kruszę;

O, wierz, jeślim cię ranił, tom najsłodsze krużę
Wylewał — gorzej raniąc swoje własne wnętrze
I gasząc w sobie ognie ducha najgorętsze.

III.

O szczęście, śnie mój złoty, śnie mój bezpowrotny!
Mówiłaś mi w dzień owy o zachodzie słońca,
Kiedyś nad brzegiem rzeki siedziała marząca...
Z tobą ja — duch w szaleństwie rojeń swych samotny!

Mówiłaś, żeś szczęśliwa!... Lekki wiatr przelotny,
Kołysał oczerety — a śród fal bez końca.
Drobna łódka rybacza sunęła się drżąca...
Cichy — cichy pamiątek bywa żal pieszczotny...

O, gdyby można wrócić dni minionych zorze,
Gdyby można glob ziemski powstrzymać w obiegu!
Gdyby można... Czy prawda — tam — u rzeki brzegu?

Czy już nigdy tą pieśnią ucha nie popieszczę?
Szczęśliwa — czy na prawdę? Bądź miłościw, Boże!...
O, gdybyś mi to mogła powtórzyć raz jeszcze! ..

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Felcia wszakże poruszała się wolno i wahająco, jak w rozmarzeniu czy w zamyśle. Twarz miała rozjaśnioną ogromną słodyczą i radością; wreszcie na Adę spojrzała.

— Dziękuję ci bardzo! — powiedziała cicho.

— Za co? ależ za co? — podjęła ta, jak zawsze z myślą w stronach dziesięciu.

— Że tu byłam... tak długo! — dorzuciła Felcia, i w obie ręce ją pocałowała.

— Dzieciak jesteś! a z tem całowaniem uparciuch niepoprawny! — odparła Ada palcem jej grożąc.

Felicya już wychodziła.

Maryan wciąż w ruchu po pokoju, a duchem znów na chmurach, nic nie słyszał, ledwo cośkolwiek w roztargnieniu widział i uśmiechnął się łagodnie.

— I cóż, panno Felicyo? Będziemy dzielniejszego ducha, nieprawdaż? Bo świat tak szeroki, a życie tak pięknem i bogatem być może!—zwrócił się do niej! — Ale ja panią odprowadzę, bo i ja spieszyć muszę! — dodał nagle przytomniejąc.

Felcia od pierwszych jego słów zarumieniona, do reszty zmieszała się propozycyą, nieznaną w życiu, i z pytaniem patrzyła na Adę.

— Ach... ja tak wolno chodzę—rzekła w końcu nieśmiało.

— To nic. Pójdę i ja wolno, choć zazwyczaj pędzę.

I pożegnawszy się jął z tak serdeczną dobrocią uwijać się w przedpokoju około podawania jej paltocika i zbierania jakichś paczek z książkami, iż zwolna jej zakłopotanie i smutek rozwiał.

Gdy wyszli, Ada w ręce klasnęła.

— A gdyby ich tak połączyć? To byłaby para! Jedno ckliwość i egzaltacya uosobiona, drugie utopia chodząca...

Zabawił ją ten pomysł.

Oni tymczasem postępowali zwolna, choć nie w milczeniu.

— Jaki pan musi być szczęśliwy! — mówiła Felcia, lękliwość zostawiwszy za progiem, podobna dzieciom, którym dobroć najprędzej rozwiązuje usta.

— Dlaczego, pani? dlaczego?

— Dlatego, że pan tak umie czuć i myśleć. Ja nie wiem, nie wiem, ale zdaje mi się, że gdybym ja to potrafiła, to nigdy nie czułabym się samą i ubogą.

— Ależ to tak proste, pani... Zresztą można się nauczyć myśleć i działać.

— Ja też po rozmowie u pani Darskiej, na tym raucie, wie pan? często zastanawiałam się nad różnemi rzeczami, które pan wypowiedział; tylko nie wszystkie rozumiem, bo ja nie mam wielkiej inteligencyi ani wszechstronnego wykształcenia, jak naprzykład Ada. Z nią to co innego.

I zaczęły się pochwały.

Maryan wszakże dorzuciwszy tu i owdzie słowo uznania dla panny Smieńskiej, jakoś wnet skierował rozmowę na kwestye ogólne; następnie zaś zaofiarował się dać swej towarzyszce do przeczytania parę łatwych, a rozwijających pojęcia książek.

Felicya była uszczęśliwiona.

— Mnie się wydaje, że w wielu sprawach przedewszystkiem trzeba, aby człowiek czuł szczerze i rzetelnie gotów był coś robić z zapomnieniem o sobie, prawda panie? — mówiła. — Bo chyba łatwiej o takich, którzy wskażą i nauczą co i jak czynić.

Głos jej przerywał się ciągle, gdyż dla pokrycia kalectwa starała się kroku przyspieszać i prosto się trzymać, a to jej bardzo utrudniało oddech.

Hubicz sercem przenikliwy spostrzegł jej wysiłek.

— Pani zmordowana, może idziemy za prędko? Gdybym wiedział, że pani dobrze będzie oprzeć się na mnie, służyłbym ramieniem. Co? Nie odrzuci pani?

— O, dziękuję... dziękuję!... Zawsze chodzę sama i radzę sobie — odparła Felicya, na nowo mieszając się i czerwieniąc.

I tylko zwolnili tempo, co również dogadzało Hubiczowi, bo wpadł w wielką chęć rozprawiania z tą słuchaczką o prostej duszy, która jasnym dźwiękiem odbijać umiała echo słów, jak dzwon z czystego ulany kruszcu.

IX.

Gdy blizko dwa tygodnie mijały od spotkania na dworcu, a Janusz się nie pokazywał, Ada poczynała tracić pewność siebie i nawet przypuszczać, że Oroński o blizkim ślubie z Maryą za pierwszem widzeniem jej oznajmi i dlatego wizytę odwłóczy.

— W takim razie w przeciągu dni dziesięciu, ani dymu, ani popiołu nie będzie tu po mnie! Do Paryża wyjadę lub do Monachium — mówiła, a projekt ten odrazu stawał się dla niej onym kołowatym wirem wody, który w bieg swój chwyciwszy, myślą kręci aż do zawrotu głowy, do zaćmienia. Nie rozpoczynała też wcale studyów, bezwiednie trzymając wszystko w zawieszeniu, a w zależności od rozmowy z Januszem.

Jednak chwile zwątpienia były dla niej tylko przelotnemi; w duszy częściej odzywało przekonanie, że miłość jego posiędzie, a nawet już zdobyła. Wprawdzie przyznawała poniekąd, że mogła go zrazić gwałtownością. Lecz nie żałowała wielomównych wybuchów. Czasem tylko popadała w smutek, czy przez intuicyjne przeczucie, że błogo i dobrze byłoby temu człowiekowi życie oddać; czy przez zgłuszone, ale majaczące przeświadczenie, że jednak bez kierunku, bez cudzej nad sobą władzy i bez owego oddania się komuś, będzie tak ot płonąć, gorzeć, rwać się, miotać, i starga się, na żuzel się spali nie wiedzieć po co, dla kogo, dlaczego.

Piękny był dzień jakkolwiek ostry, iście październikowy. Po nocnym przymrozku chłód przewiewał, a niebo stało czyste, bez skaz, błękitne i słońca jasności pełne.

Ada zaraz po południu wybierała się do Frascati, dokąd wstęp miała dozwolony.

Swobodne letnie wycieczki pozostawiły w niej potrzebę ruchu i powietrza. Nie miała zaś chęci kręcić się wśród ludzi, pragnęła przestrzeni wolnej od turkotu i twarzy.

Do tej chwili pilnie pozostawała w domu, oczekując; lecz niepokój i zawody wyczerpały jej cierpliwość. Nagle ogarnął ją nawet gorączkowy pośpiech. Szybko zatem narzuciła kostium spacerowy z kapelusikiem strzeleckim, zalotnie przystrajającym głowę, i niemal uciekała, jak gdyby łatwiej po za murami znaleźć miała to, czego w ich obrębie czekała napróżno.

Jakoż ledwo zatrzasnęła drzwi za sobą, gdy posłyszała szmer, który ją na miejscu zatrzymał: kroki jakieś po dywanie zaścielającym schody sunęły ku górze, rozlegając się tępem echem, ale coraz wyraźniej, bliżej, i Oroński się pokazał.

Nią owładnęło coś nakształt ogromnego pomieszania i trwogi, jak przed chwilą roztrzygającą.

Zapomniała wszelkich przygotowań, dawno ku temu spotkaniu czynionych w myśli. Nie była w stanie poruszyć się, głosu dobyć, ani nawet podnieść oczu, ani zadzwonić, by im napowrót drzwi otworzono. Była pewną, że zawiadomienie o ślubie usłyszy i czuła strach, pragnęła wieść tę odsunąć, czy wolała odebrać ją wśród ruchu i swobody, by łatwiej ze siebie ją zrzucić, a za nic nie chciała do mieszkania wracać.

Janusz patrzył na nią w oczekiwaniu i niepewności.

I odrazu popadli oboje w wielką sztuczność obejścia, jak zwykle ludzie przy nadmiernem naprężeniu uczuć i nerwów, gdy obawiają się rzec sobie proste „dzień dobry,” by się nie zdradzić.

— Wychodzisz? — zapytał w końcu Oroński.

— Tak... wybrałam się do Frascati — odparła ona przytomniejąc. — Pójdziesz ze mną?

— A, z ochotą.

I ruszyli.

On przychylił się do jej woli może też bezświadomie pragnąc z zewnątrz jakowegoś rozerwania myśli, jakoby rozbicia siły, z wewnątrz opanowującej bezwzględnie.

A raz wydostawszy się na ulicę, poczęli rozmawiać głośno i żwawo mimo tłumu i zgiełku. I czując, że tą obojętną, zdawkową rozmową jeno zagadują coś, co jak ogień podziemny w nich wzbiera, i nie wiedząc zgoła jasno co czynią i dokąd dążą, stanęli tak w oszołomieniu u celu.

Dopiero wszedłszy do parku pod sklepienie drzew, nagle spostrzegli gdzie są i jaka w otoczeniu zmiana.

Tu bowiem mróz nocny jednem lodowem tchnieniem zieleń żywą i bogatą w blask pomarańcz zmienił; i cały wspaniały strop z klonów i grabów spleciony, cały poprostu park, zacząwszy od kobierca z liści zaścielających ziemię, aż do drzew szczytów, gorzał w morzu słońca i złocistości.

— Ach! jak tu cudnie! jak tu przepysznie! — wykrzyknęła Ada.

— Iście zaczarowany kraj! — dorzucił Janusz, wzrokiem wodząc dokoła.

Zachwyt, ów naturalny akompaniament wszelkiej miłości, mniej czy więcej szczerej i poetycznej ogarniał ich oboje. Sztuczność podniecenia opadła, zamilkli i patrzyli, jeno patrzyli.

Ona głowę trzymała nieco przechyloną, rzęsy przymglone, usta wpół otwarte, jakby wsłuchując się w głuchą muzykę ciszy. I zdało się, że opływa ją senność jakaś, że pozwoliłaby kibić objąć ramieniem, do piersi przygarnąć, by też słuchać tajemnego szeptu, z ust do ust.

Lecz nagle zwróciła się ku długiej, wspaniałej alei, i naprzód postępując, stopy zagłębiać poczęła w miękkiem usłaniu, głośno szurgocąc liśćmi, jak dziecko, które tem się bawi.

Janusz podążał obok, i szli tak nie mówiąc słowa. Szli żywo, jak gdyby oboje uciekali przed czemś, co jednak ich niosło, a szelest pod ich nogami wzmagał się, w głuche warczenie zamieniał i, za postaciami ich, drobnemi wobec starych rozłożystych drzew, sunął jak duch, skrzydłami szumiący.

Gdy z końcem alei, na odkrytym tarasie zbrakło liści i szmer ustał, Ada jakby otrzeźwiała z zapamiętania.

— Szłabym tak na koniec świata! — rzekła.

— A jeśli te liście mają serce i duszę, a ty je depcesz?

— To co? — rzuciła ostro, wzruszając ramionami.

Po czem zakręciła koło pałacu, pociągając Orońskiego za sobą, w głuchem znów milczeniu.

W duszy jej walczyło krańcowe zwątpienie z resztkami nadziei. Ciało przepływała gorąca fala, którą dreszcz obawy chwilami ścinał tak, iż coraz mniej mogła panować nad sobą. W miarę bowiem jak czas upływał, a Janusz milczał, lub słowa bez znaczenia rzucał, w niej poczynało utrwalać się przekonanie o zupełnej przegranej. Więc porywał ją gwałtowny żal szaleńca, który wszystko traci na jednej stawce; zdejmował smutek nagły, a posępny, który jakoby wyjrzał olbrzymim z za drzew cieniem, a rósł i rósł z każdym krokiem naprzód.

— Pomyliłam się! Nie kocha mnie... nie chciał, nie kochał!... — myślała, i byłaby rada w ziemię zapaść.

A nie podnosząc oczu, nie widziała, że w rysach jego było natężenie i jakaś nieprzytomność człowieka hypnotyzowanego, który do szczętu tracąc wolę, bezwiednie czeka niejako ostatecznych pchnięć tej siły, która w moc go wzięła.

Wtem wśród tego niemego pochodu, ambicya jej wspięła się zuchwale.

— Jeśli waha się czy mówić o ślubie, toż ja pierwsza obojętność, wzgardę mu okażę — pomyślała nagle.

Stanęła. Powiodła wzrokiem, jakby szukając o coby zaczepić rozmową, schyliła się i w palce chwyciła błękitnawą, grubą nić pajęczyny, gęsto po krzewach rozsnutej.

— Patrz! co przędzy babiego lata! — jednym tchem rzekła. — A wiesz... widziałam tego roku... widziałam raz... jak pająk próbował rozciągnąć sieć między dwoma drzewami, przez szerokość ogrodowej ulicy — wolniej mówiła, lśniące włókno koło palców owijając. — Otóż rozwinął nici, zadzierżgnął je, przesuwając się z jednej strony na drugą... Wtem widać zmiarkował, że za rozległą wybrał przestrzeń, że za trudną, bezużyteczną, czy zbyt męczącą i hazardowną rozpoczął pracę. Zatrzymał się, może namyślał, i postanowił się wycofać. Począł więc szybko przesuwać się napowrót po wysnutej przędzy, aż pod kłębuszek swego ciałka ściągnął wszystko do ostatniego źdźbła. A następnie przerzucił się na inne gałęzie i dogodnie bezpiecznie rozpostarł namiot... Powiedz, czy to nie ciekawe, nie zastanawiające? — nagle zapytała.

Lecz tu żal przenikający ją, przemógł, przedarł się przez wszystkie zagłuszenia i wcale inny kierunek nadał myślom.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kongres Feministek.

(Dokończenie.)

Ostatnie posiedzenie, z którego właśnie zdać mamy sprawę dzisiaj, zająć się było powinno w myśl programu, wychowaniem i prawami politycznemi kobiety. Nie od razu jednak przystąpiono do tego wychowania, echa bowiem rozpraw wczorajszych przeniosły się i na tę sesyę jeszcze, stwierdzając tym sposobem ów pewnik niezbity, iż bądźcobądź, rdzeniem kwestyi jest, jak był, stosunek kobiety do mężczyzny, a reszta dążeń, aspiracyj i wynikających ztąd postulatów — to akcesorya jedynie.

Tam też powikłania najdrażliwsze —, tam najnieprawdopodobniejsze uroszczenia—ztamtąd pod wpływem sądów namiętnych wychodzą wszystkie zamachy na rodzinę i moralność — zamachy wystawiające bardzo smutne świadectwo realnej wartości zgromadzenia.

Szczególnie bo, przyznać należy, podrwiły głową panie feministki na tym ostatnim wiecu swoim w Paryżu.

Jeżeli szło im o to, aby ocalić pozory i pozostawić sobie na przyszłość wolną rękę do tumanienia niedoświadczonej młodości, nie trzeba było przecież wyszukiwać sobie kumostw, aż w tym stopniu kompromitujących — nie trzeba było zapraszać do udziału w kongresie osławionych anarchistów i niedojrzałej studenteryi socyalno komunistycznej barwy.

Wszakci to odkąd świat światem, a na nim różnego rodzaju wiece, sejmy, zbory i kongresy, nikomu jeszcze nie przyszło na myśl, aby do obrad jakichkolwiek wzywać element wypowiadający, jawną, otwartą a zaciętą wojnę wszelkiemu prawu i porządkowi, tak samo jak żadne jeszcze obradujące ciało nie zapożyczało dotąd pomysłów od studentów — tego zwłaszcza odcienia, którego obłędy w proste, zwyczajne przechodzą już dzisiaj szaleństwo.

Dlatego też mylą się bardzo feministki, jeśli sądzą, że ów stary kmotr wszystkich osiedleńców Nowej Kaledonii, wtedy je dopiero zdemaskował, kiedy głosić począł swoje homilie poczęte w obłąkaniu; ten Robin samem ukazaniem się swojem w tej sali w charakterze zaproszonego, odrazu powiedział kim są te, które go wezwały— czego chcą—dokąd zmierzają.

Uwidziało się widać tym paniom, że nie od rzeczy będzie mieć pod ręką zdecydowanego bluźniercę, jako wyręczyciela w wypowiadaniu różnych drażliwości, których ujawnienie ambarasującem być może dla założycielek nowego kościoła. Tymczasem przerachowały się; sprzymierzeniec logiczniejszy i konsekwentniejszych wdał się w szczegóły, a te szczegóły nieszczęśliwe mają już to do siebie, że odsłaniają dno kwestyi, ciągnąc odrazu całą utopią w błoto rzeczywistości, i ukazując w dali nieuniknione konflikty z urzędami prokuratorskimi.

Przerachowano się tedy na studentach kollektywistach, a najsromotniej przerachowano na tym weteranie anarchii, od którego już na tem zebraniu nie można było zasłaniać się wachlarzykiem jak na poprzednich, bo tu już nie ostało się ani jedno z wielkich słów przeznaczonych na tumanienie głupich, a natomiast ukazała w całej szpetnej dzikości swojej naga, bezwstydna prawda, bez której jednak przystosować doktryny do życia nie da się w żaden — ale to w żaden żywy sposób.

Znalazł się tedy kongres w kłopocie prawdziwym, bo i najzawziętszy przeciwnik nie mógł się był przyczynić skuteczniej od owego niezdarnego sprzymierzeńca do zerwania osłon z tego rusztowania szaleństwa i nieprawości.

Oczywiście nie w Tygodniku naszym miejsce na rozmazywanie brudów zalecanych przez p. Robin jako konieczne do postawienia kamienia węgielnego pod przyszły kościół, o którym z takiem namaszczeniem mówi p. Loevy—jego założycielka, to tylko powiemy czytelniczkom naszym, że daremnie rozlegał się dzwonek prezydującej, która roztropnie dotąd omijała niektóre arcana uporczywie wyciągane na wierzch przez starego szaleńca, i daremnie panie feministki protestowały swojem faryzejskiem fi! w które nikt z obecnych i nieobecnych nie wierzy, aby szczerem być miało. Nieoceniony anarchista niczego istotnie nie pominął, niczemu nie przebaczył — owszem wszystko wywlókł na światło dzienne, poczynając od wolnej miłości, a skończywszy na dowolnem macierzyństwie.

I niewiadomo rzeczywiście na czemby się było na razie skończyło, gdyby nie przytomniejszy od reszty ów p. Juliusz Bois, zaangażowany tem, że się na początku jako zdeklarowany stronnik feminizmu i feministycznej przyszłości świata, oświadczył—gdyby ten dyalektyk zręczny nie był zażegnał chwilowo niebezpieczeństwa swoim protestem — deklamatorskim wprawdzie i napuszonym bardzo — co więcej nie szczerym zapewne, ale bądźcobądź protestem, który od tamtej sromoty całej uwagę obecnych odwrócił i wrażenie jej do pewnego stopnia osłabił.

Pan Bois tedy pogniewawszy się na Robina za to, że nauczył słuchaczy, iż feministycznego wierzchu bez anarchicznej podszewki nie było, nie ma i nie będzie, powiedział gadatliwemu psotnikowi moc wielką gorzkich bardzo prawd, które może nie byłyby bez wartości, ale w żadnym razie z tego miejsca i w tem zgromadzeniu, które wszystko to samo w złagodzonej formie roztrząsało parę godzin przedtem i roztrząsać miało jeszcze w parę godzin później.

Entuzyastyczny feminista tłómaczył koledze anarchiście, że chce wziąść na lep młodość niedoświadczoną, ale nie weźmie, dzięki właśnie jego protestowi, co byłoby może bardzo pięknem, gdyby pan Bois nie był wziął sytuacyi zupełnie na wywrot. Tumanił w rzeczywistości i usiłował brać na lep ale kongres—nie Robin, który ze szczerością zdecydowanego waryata, wypowiedział się do ostatniego bluźnierstwa i zbajał do ostatnich granic potworności. W dalszym ciągu powiada pan Juliusz Bois, że takie zasady jakie upowszechnia Robin cofnąćby musiały ludzkość do epoki tryumfującego bydlęcia.

I tu pomyłka jeszcze. Ludzkość w epoce o której prawi mówca była o wiele moralniejszą; te dary, które otrzymuje z rąk pana Robin i jemu podobnych, to już owoce cywilizacyi, nie mające nic wspólnego ze stanem pierwotnej nieświadomości czy barbarzyństwa. Kończy wreszcie mówca takim zwrotem:

„Nie jestem na tyle młodym, abym brał na siebie obronę Boga, który takiej obrony nie potrzebuje, ale to powiem, że ideał nie może być tutaj bezczeszczonym bez protestu.

Chwila cierpliwości, a przekonamy się, że był, i że nadto tym razem pocisk padł nie z ręki anarchisty, ale że go rzuciła jedna z założycielek nowego kościoła, a stało się to nietylko bez protestu, ale ku zupełnej aprobacyi i uznaniu uczestniczek kongresu.

Na tem skończyło się posiedzenie przedpołudniowe. To, które odbyło się po południu, miało już do końca dodaną sobie straż bezpieczeństwa publicznego, zapewne zarówno ze względu na wzburzenie umysłów, jak i na treść obrad, która bądźcobądź przekroczyła o wiele to, na co nawet zlaicyzowany kierunek rządowy Francyi współczesnej, patrzeć może bez ujmy i krzywdy dla społeczności całej, i dla jakiej takiej powagi własnej.

Już tylko kilka godzin wolnych mają te panie dla spraw wychowania i równouprawnienia politycznego, a tu jak widać sporo jeszcze pozostało kwestyj nagłych, ważnych—palących, jak się to zwykło mówić stylem dzisiejszym. Musiało oczywiście pozostać ich dosyć, bo oto wstępuje na mównicę p. Hilda Sachs Szwedka, która dla dobra przyszłego kościoła chce się także podzielić czemś z towarzyszkami prac kongresowych.

Posłuchajmy jej; wszak to taki sympatyczny ten duch społeczności skandynawskiej, i my się przecież lubujemy we wszystkiem co nas ztamtąd dochodzi, bo to takie nowe, takie...

No wreszcie dlaczego mamy chwalić naprzód, usłyszmy najpierw o co tej pani chodzi:

„Niejednokrotnie słyszałam tutaj wymawiany z wielkiem uznaniem ten wyraz macierzyństwo, i wyznaję, że dotąd dźwięczy mi on w uszach — mówi delegowana ze Szwecyi ora-

torka. — Co do mnie, nie pojmuję zupełnie, aby to stanowić miało dla kobiety honor, a w następstwie pociągać za sobą przywilej jakiś. Sama jestem matką także, ale nie czuję się przez to wcale podniesioną. (Wielkie dowody uznania). Myślę, że owa mniemana wyższość kobiety matki wyszła z krajów katolickich, a zrodziła się ona tam ze czci dla Madonny...

Darujcie nam czytelniczki resztę. Przez nieprzezwyciężony wstręt do profanacyi wszelkiej, oszczędzimy wam i sobie tego co było dalej, pominiemy porównanie, którego użyto, a ograniczymy się do jednej tylko beznamiętnej, chciejcie uwierzyć, oceny tego co powiedziała ta kobieta przyszłości. Otóż zdaniem naszem, nie ze stanowiska wyznawcy religii objawionej — nie z tego punktu zapatrywania do którego obowiązuje Chrześciaństwo, ale w imię najpierwszych pojęć etycznych wspólnych społecznościom wszelkim — choćby pogańskim nawet, to co powiedzianem było, obrażało nietylko uczucia religijne, nietylko poniżało kobietę, ale uwłaczało prostemu zdrowemu rozsądkowi. Psują się niekiedy w wychowaniu szkolnem wzajemnie młodzi chłopcy, i od takich początkujących *esprits-forts* niejedną niedorzeczność zdarza się usłyszeć, ale to bywa i naiwniejsze, i moralniejsze, i sprawiedliwsze prawie zawsze. Pokazuje się, że zepsuta kobieta dojrzała przechodzi cynizmem, płytkością i głupią chęcią popisu każdego męzkiego niedorostka nawet.

Huczne oklaski dowiodły p. Sachs, że zrozumianą została, poczem syta hołdów zażądała summarycznie prawa głosowania i prawa wybieralności.

Jeszczeby też! Po takim świetnym egzaminie dojrzałości, jeśli gdzie droga, to z pewnością na ławy prawodawcze. Prosimy! A jeżeli z jakich ust patronat w tej sprawie może mieć wagę i powagę, to z pewnością z takich.

Nie można się dziwić, że wobec krótkości czasu z kwestyami takiemi jak wychowanie i prawa polityczne załatwiono się na kongresie feministycznym bardzo pospiesznie. Wogóle, wychowanie pod względem ważności, jakie mu w tem zgromadzeniu przyznawać mogą, mamy sobie objaśnionem zupełnie przez poważanie, jakiego jest przedmiotem macierzyństwo, a o tem właśnie słyszeliśmy przed chwilą. Zresztą i to także wiadomo, że między licznemi dobrodziejstwami które feministyczna przyszłość rezerwuje światu, a których godnymi stać się powinni mężczyzni, wedle tego jak zapewniała młodych kollektywistów pani prezydująca — między dobrodziejstwami temi jest w pierwszym rzędzie przejście wychowania z rąk rodzicielskich w ręce społeczności. Więc nie ma sobie nikt już nadal potrzeby zaprzątać tem głowy, bo program wychowawczy opracowują zapewne członkowie Unii Falansteryjnej, której reprezentanta widzieliśmy na początku kongresu. To już tedy tak jak gdyby było załatwione, a tymczasem jako środek prowizoryczny zaleca się wychowanie mięszane — jedyne godne wielkiej epoki i zdolne zawczasu wszczepić w przyszłych obywateli i obywatelki feministycznego ustroju, uczucie solidarności mężczyzny i kobiety.

Co zaś do praw politycznych kobiety, nad temi nie było co istotnie rozwodzić się zbyt długo. Wszak tutaj wszystko jasne, proste i nietylko przedyskutowane oddawna, ale i rozstrzygnięte w zasadzie zupełnie. Jeżeli o co chodzi jeszcze, to o wykonanie samo, ale to także bagatela, jak wiadomo. A zatem prawo wyborcze i prawo wybieralności i udział w sądach przysięgłych i t. d., i t. d.

Aby niczego nie brakło między tymi dekretami, zaleca kongres kobietom przedewszystkiem zgadnijcież co? Oto rower, jako najwymowniejszy symbol pochodu przez życie w poczuciu solidarności mężczyzny i kobiety. Hosanna! tedy... i dalej na tym rowerze ku wielkiej feministycznej przyszłości!

Przyszły kongres w roku, nie daj Boże doczekać, 1900-nym.

* * *

No, to i dobiliśmy się do końca z tem sprawozdaniem naszem. Krytykę, a choćby komentarz jakikolwiek uważamy za zbyteczne, boć tu dwuznacznego przecież nic niema. Jeżeli o czem pomówićby można, to chyba o dwojakiego rodzaju zainteresowaniu się, jakie dla tego wiecu objawiło się w naszej prasie.

Codzienne pisma, o ile czytaliśmy, pisały bardzo zwięźle o kongresie feministek. U jednych bezkrytyczność zupełna, u innych więcej domyślnego ruszenia ramion, niż uwag i oceny. Tygodniowe bardzo się rozmaicie na to zapatrują, rozumie się stosownie do przekonań, które przedstawia dane pismo. Dzielić się z czytelniczkami naszemi opiniami, dla których żywimy sympatyą i poważanie, nie widzimy potrzeby, ale tak choćby dla przekonania, że nie prowadzimy wojny z wiatrakami, zacytujemy konkluzyą, jaką opatruje sprawozdanie swoje jedno z pism t. zw. postępowych.

Oto wymownych bardzo kilka wyrazów:

„Kongres feministyczny traktował kwestye wypływające z rokładu rodziny patryarchalnej — monogamicznej. Mężowładztwo, nierozerwalność związków, wychowywanie dzieci przez rodziców, to wszystko istnieje jeszcze dzięki przymusowi prawnemu jedynie; w gruncie rzeczy rodzina jest ruiną."

A właśnie!

Na tem zakończymy.

M. R.

Drogą żelazną Warszawsko-Wiedeńską.

Wielmożny Gustaw Drzewiecki,

Wilcza 49.

„Drogi Guciu!

Masz już lat dwadzieścia ośm; zajmujesz miejsce bardzo przyzwoite w towarzystwie ubezpieczeń. Na twojej lewej skroni dopatrzyłem się kilku siwych włosów; nadto zaczynasz dbać o wygody życia, lubisz dobrze zjeść i nie gardzisz partyjką wincika. To wszystko znaczy, że zbliża się czas w którym warto już los swój ustalić.

Tak, trzeba się już ożenić. Jeżeli chcesz zrobić prawdziwą przyjemność mnie, twojemu wujowi, byłemu opiekunowi i staremu przyjacielowi twoich rodziców, to pozbieraj niezwłocznie podróżne manatki, zapakuj walizkę, bierz pierwszą lepszą dorożkę i pospiesznym rannym pociągiem jedź do Piotrkowa. Przyjechawszy, idź do hotelu, umyj się, oczyść ubranie, zakręć wąsy i dopytuj się o mieszkanie mojego kolegi i przyjaciela pana Sylwestra Godzięby.

Przybycie twoje wcale go nie zadziwi; jużeśmy to ułożyli. Zgłosisz się do niego z prośbą o udzielenie ci wiadomości co do cen zbożowych, bo ci ta wiadomość w obliczaniu polis jest potrzebną. Zaprosi cię na obiad, co naturalnie przyjmiesz z przyjemnością.

Pan Sylwester Godzięba, ex-rejent, ma żonę... tak sobie, dosyć zwyczajną, ale dobrą kobietę; dwie córki, jedną Anielkę, która ma rok 20-sty, drugą Lucynkę młodszą o dwa lata; ładne, wykształcone, w dobrych zasadach wychowane panienki, przytem... posażne. Przeznaczam dla ciebie Anielkę... naturalnie jeżeli ci się spodoba; jej siostra jeszcze za młoda, także wdzięczna, miła, ładna, ale to jeszcze dziecko. Ułożyliśmy to sobie z moim kolegą i przyjacielem w czasie ostatniej mojej u niego bytności.

Anielka jest ciemną szatynką, ma oczy piwne, rysy regularne, jednem słowem ładna osoba. Nosek może trochę za spiczasty, ale jej z tem bardzo do twarzy. Co prawda, przy moich poważnych zajęciach zapomniałam już trochę, co się w waszym młodym wieku podoba, i jak oceniacie piękność niewieścią. Zresztą to już twoja rzecz.

Muszę tu dodać jeszcze dwa ważne punkta: 1-mo. Anielka jest skromna, trochę nieśmiała a przytem nadzwyczaj słodka; wiem to od jej matki. Te zalety, wierzaj mi, są bardzo ważne w pożyciu. 2 do. Jeżeli małżeństwo dojdzie do skutku, czego jak widzisz bardzo pragnę, oddam ci na własność moją Brzozówkę w Augustowskiem. Nie bardzo to ucieszy moich innych synowców, ale trudno — dla ciebie miałem zawsze pewną predylekcyą; wiesz o tem dobrze urwisie. A więc dalej w drogę!

Kochający cię wuj

Paweł Małokrzycki.

Suwalki, 15/V 187...

P. S. Przyszlij mi telegraficzną wiadomość o pierwszych twoich wrażeniach."

Kiedy się odbiera taki list, nie pozostaje nic innego jak bezwarunkowe posłuszeństwo. Oglądanie moich przyszłych narzeczonych zawsze mnie bardzo bawiło; a była to już 10-ta podobno z kolei, którą mi wuj przeznaczał. Poczciwy, kochany wujaszek gwałtem chciałby mnie już widzieć żonatym; a może ma racyą pod tym względem. Siwe włosy na skroni; tego lekceważyć sobie nie można. Owa Brzozówka w Augustowskiem była od dawna szczytem moich marzeń. Trzeba więc wyruszyć w celu nowych obserwacyj nad panem i panią Godziębami, a także i nad panną Anielą.

Aniela! Podoba mi się to imię... jest w niem coś anielskiego ale i kobiecego zarazem... Lubię bardzo piękne ciemne włosy... oczy piwne bywają prześliczne. No zobaczymy!

Na drugi dzień biorę bilet drugiej klasy na pociąg, który wychodzi o jedenastej godzinie przed południem.

Było już po pierwszym dzwonku a w wagonach zajmowano miejsca, windowano w górę torby i manatki, lub też zaznaczano różnymi przedmiotami siedzenia nieprzybyłych dotąd osób. Tyle się napodróżowałem w życiu, że znam na wylot całą strategią podróżnych pod tym

względem, i przyznam się, że wyprowadzenie na jaw tych podstępów, robi mi prawdziwą przyjemność.

Spokojnie więc przechodzę koło wagonów, lustrując bystrem spojrzeniem miejsce, któreby odpowiadało moim wymaganiom, to znaczy: żeby było w rogu przy oknie, przodem do pociągu i z osobami przyjemnej powierzchowności naprzeciwko. Nie życzyłbym sobie starych pań ze wszystkiego niezadowolonych, ani małych, krzykliwych dzieci, ani osób palących, gdyż znoszę tylko dymek własnego cygara.

Przejrzawszy cały pociąg upatruję sobie jeden przedział środkowy z którego, po umieszczeniu rzeczy wychodzi młoda osoba—osoba szczupła, wysmukła, ładna i dobrze ubrana.

Zeskakuje ona lekko ze stopni wagonu, mówiąc do niemłodej już pani, stojącej na peronie.

— Doskonale nam będzie w tym przedziale; prawdopodobnie nikt nas nie będzie nudził; będziemy sami.

Niemłoda pani trzyma w ręku oprócz torebki i koszyczek z przykrywką także, pod którą przeczuwam obecność jakiegoś wyjątkowo ukochanego faworyta. Nie lubię piesków w wagonach, jednakże decyduję się stanowczo na ten właśnie rezerwowy przedział.

Młoda osoba ślicznie jest ubrana w obcisłym popielatym podróżnym kostiumie i kapelusiku również popielatym z białem gołębiem skrzydełkiem.

Panie obiedwie idą do głównej sali, zapewne w celu kupienia dzienników; rzucam tymczasem okiem w głąb przedziału i widzę, że wszystkie miejsca zajęte są różnymi przedmiotami.

Wszystkie ośm! Czyżby w tak licznem towarzystwie podróżowano?

Postanawiam zgłębić kwestyą, a zanim pora na to przyjdzie, przechadzam się zwolna jak szyldwach na warcie wzdłuż wagonu o trzech oddziałach, upatrując chwili zajęcia miejsca jak można najbliższego pięknej nieznajomej. Wszakże mi to wolno? Jeszcze nie jestem skrępowany żadnem zobowiązaniem względem Anielci. Mogę sobie swobodnie nudną, kilkogodzinną drogę uprzyjemnić flirtem.

Ale cóż to za szczególne wymaganie, mając prawdopodobnie dwa płatne bilety, zajmować przedział ośmio osobowy! W nieobecności tych pań obrachowywam ich pakunki. W czterech rogach, zwykle najbardziej poszukiwanych, dwa mantelzaki, torba czarna duża, niklowym zamkiem opatrzona, kosz z prowiantami zapewne, a na środkowych miejscach parasole, rękawiczki, troczki z szalami, i robota szydełkowa z dużym kłębkiem niebieskiej włóczki.

Bardzo dobrze!... już wiem jak się znajomość zawiąże. Kłębek stacza się z siedzenia, ja podnoszę go i oddaje z uprzejmym pośpiechem, dotknąwszy się przypadkiem różowych paluszków. Koniecznie być muszą różowe, długie, wązkie; ona podziękuje z czarownym uśmiechem, na który ja odpowiadam zręcznie i dowcipnie i pierwsze lody złamane!

Może to wdowa. Co to za śliczna rzecz taka dwudziestoletnia wdówka! gdyż ona nie może mieć więcej jak lat dwadzieścia. Do czego to kłębek z niebieskiej włóczki doprowadzić może! A cóż będzie z Anielką? Ha trudno! ta wdówka na prawdę mi się podobała.

— Proszę siadać panowie!—woła konduktor,— za chwilę trzeci dzwonek. — A więc ruch, zamieszanie, każdy dąży do obranego miejsca lub poszukuje jakiegokolwiek; spóźnieni biegną z przestrachem.

„Żebyśmy też znaleźli miejsca! — Tędy kochaneczko! — Czy masz parasole? — Gdzie pudełka z kapeluszami? — Ani wiem gdziem wsadził bilet! — A gdzież jest Ludka? — Trzeba zareklamować do zarządu, żeby dodano kilka wagonów, woła jakaś rezolutna pani.”

Ja stoję spokojnie przy drzwiach obranego przedziału, widząc że zajęty licznemi pakunkami, i że nikt się tam przedostać nie waży.

Otóż i moja wdówka wychodzi z sali krokiem umiarkowanym. Ach! jest ich troje. Stary pan, bardzo przyjemnej powierzchowności, z wyrazem dobroci i uprzejmości na twarzy, niesie ostrożnie znajomy mi koszyk z przykrywką. To zapewne jest ojciec; poznaję to po podobieństwie kształtu twarzy.

— Przepraszam pana — mówi do mnie poważny pan głosem bardzo przyjemnym i pomaga córce wsiąść do wagonu. Ona tymczasem obrzuca mnie spojrzeniem, w którem się mieści nieufność z niechęcią złączona. Ale ja się usuwam zdradziecko ku drzwiom drugiego oddziału, ażeby ją zaspokoić chwilowo, a jednocześnie podziwiam zgrabną, ślicznie obutą nóżkę, która znika w wagonie. Stary pan pomaga wsiąść dojrzałej damie, odbiera od niej torebki i pakieciki, któremi jest obładowaną, poczem obie razem segregują wszystkie te drobiazgi, córka zaś nie troszcząc się o nic zajmuje róg przedziału wygodnie.

— Czy masz już wszystko, kochanie? — zapytuje pan swoją poważną towarzyszkę, — czyście nic na sali nie zostawiły?

A więc to są rodzice, a to ich córka—prawdopodobnie panna; tem lepiej.

Dzięki nowym prądom społecznym, młode panny nie są już teraz owemi nieśmiałemi, niebiańskiemi istotami, jakiemi podobno były przed pół wiekiem: sztywne, jak z drewna ciosane, a jak ryby milczące. Wolno im mówić i śmiać się swobodnie skoro się znajdą w odpowiedniem towarzystwie. I ta też wydaje mi się dosyć do tego usposobioną. I owszem, moja pani. Cieszę się na tę myśl, że będziemy gawędzić i śmiać się wesoło w obecności twoich szanownych rodziców, którzy nic nam przeszkadzać nie będą; jeszcze nam będzie weselej. Stanowczo, nóżkę ma śliczną. Figurka zgrabna, zdaje mi się tylko, że oczy za nadto do siebie zbliżone co nadaje całości trochę ostrego wyrazu.

Kiedy sobie to wszystko rozważam i kombinuje, młoda osoba ze swego narożnego siedzenia wstaje, a rzucając ku mnie złośliwe i szydercze spojrzenie przybliża się do drzwi, przyciąga je ku sobie, zatrzaskuje, a przez okno zasuwę mosiężną zamyka.

Wszysko to wykonane było ruchem nerwowo energicznym ładnej rączki sześcioguzikową rękawiczką obciągniętej.

Otóż jestem wykluczony z raju—wysadzony z miejsca, zanim je nawet zająłem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MALARSTWO.

Liczne rzesze ciekawych przyciąga obraz Fr. Żmurki, wystawiony w salonach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Wyobraźcie sobie czytelnicy płótno imponujących rozmiarów. Na pierwszym planie, pod strzaskanym pniem drzewa siedzi starzec okryty szatą purpurową, której bogaty koloryt podnoszą padające na nią jaskrawe blaski zachodu. Obok leży porzucona lutnia. Przed starcem rozciąga się daleki przestwór oceanu; ciemnozielone fale przypływają prawie do stóp jego. Z nad fal morza przybliża się w powietrzu fantastyczna postać mężczyzny z kosą w ręku, o twarzy surowej i nieubłaganej. Ta postać jest bardzo ładna, a rozwianie zielonej draperyi niby podmuchem morskiego wichru unoszonej ku górze, dodaje jej wiele prawdziwie fantastycznego uroku.

Niżej nieco, na wybrzeżu morskiem widzimy grupę złożoną z siedmiu kobiet. Bujne, zbyt może bujne, młode ich ciała osłaniają rzucone gdzieniegdzie, bogate, różnobarwne, pięknie malowane draperye. Zdaje mi się, że krytyka fachowa mogłaby rysunkowi tych figur mieć niejedno do zarzucenia.

A teraz czytelnik radby zapewne posłyszeć komentarz obrazu, który jak dotąd jest dlań barwną i zajmującą zagadką. Tytuł: „Przeszłość grzesznika” oto klucz owej zagadki.

Bez słów tych trudno byłoby zapewne niejednemu wniknąć w intencyę malarza, pragnącego pojęcia oderwane uzmysłowić widzom przy pomocy symbolów. Pomimo, że symbole użyte przez artystę należą do znanych ogólnie, i że posługiwano się nimi niejednokrotnie, obraz nie tłómaczy się sam przez się.

Mając jednak rzucone sobie te wyrazy, możeby bez trudu odgadnąć pomysł autora. I wtedy obraz wyda nam się ostatnią kartką jakiegoś poematu, którego ani początku ani środka nie znamy.

Grzesznikiem, rozumie się, jest ów starzec w purpurze. Słońce doczesnego żywota jego gaśnie, i jaskrawe blaski ostatnie rzuca na postać tę, która za chwilę przejść ma w byt inny. Fantastyczna postać mężczyzny z kosą w ręku jest zapewne symbolem czasu, tak jak symbolem roztaczającej się przed grzesznikiem nieskończoności, są niedoścignione okiem fale morza. Zdruzgotany dąb i porzucona lutnia to symbole zniweczonej pracy życia i pieśni przerwanej. Przed grzesznikiem jawi się w ostatniej chwili przeszłość jego, a przeszłość tę uosabia owe siedm dziewic, z których każda jest symbolicznem upostaciowaniem jednego z grzechów głównych.

Cała ta symbolika sztuczna, wyrozumowana, ale nie odczuta, nie płynąca z głębin artystycznego natchnienia, nie działa na widza, nie zniewala go do przyjęcia za swoją idei artysty, do poddania się symbolicznym suggestyom obrazu; przeciwnie, usposabia go krytycznie. Rozejrzawszy się w tych siedmiu postaciach kobiecych, odgadłszy nie bez pewnego wysiłku, którego z występków napiętnowanych przez kościół ma każda z nich być uosobieniem, przenosisz czytelniku wzrok na grzesznika, i nie możesz oprzeć się zdziwieniu. Jakto? więc ten bądźcobądź szanownie

wyglądający starzec był przez całe życie ofiarą tylu nizkich namiętności? Więc w duszy jego przemieszkiwały naraz demony wszystkich siedmiu grzechów śmiertelnych? Pycha... no tak, pychą mógł on grzeszyć, i paru innym z tych siedmiu siostr ulegał może, ale o obżarstwo np. nie posądziłbyś nigdy starego pieśniarza... a jednak, a jednak chuderlawe widmo tego występku zajada łapczywie jakiś pokarm na urągowisko zchodzącemu ze świata grzesznikowi.

Wiem, że niedorzecznością jest, krytykując jakikolwiek utwór, zamiast przyjąć go takim, jakim jest, narzucać twórcy własne wymagania, pomysłowi jego przeciwstawiać pomysł własny, ponieważ jednak sprawozdanie niniejsze nie rości sobie praw żadnych do miana krytyki, i pozostać chce jedynie spowiedzią osobistych wrażeń, wypowiadam otwarcie myśli, które nasuwały mi się, gdy stałam przed obrazem Żmurki.

Otóż, jeżeli wogóle, godzić się mamy na przedstawienie występku — rzeczy w istocie swej nie estetycznej — pod postacią pięknego ciała kobiecego, niechżeby przynajmniej te niewiasty symbolizujące grzeszną przeszłość tego starca, posiadały jakiś charakter fantastyczny. Jeżeli to mają być wizye, niechżeby były jakieś bardziej powietrzne, bardziej widmowe, że się tak wyrażę, niechby przypływały z jakiejś oddali, jak na wspomnienia przystoi, a nie rozkładały się ostentacyjnie na piasku wybrzeża, takie cielesne, takie rzeczywiste, że gdyby nie bogactwem fantazyj odznaczająca się postać Czasu i nie zbyt dostojny wyraz twarzy grzesznika, możnaby sądzić, że obraz przedstawia handlarza niewolnic, czekającego na brzegu, aż przypłynie łódź, która *towar* jego do okrętu przewiezie.

Wogóle w obrazie Żmurki daje się uczuwać brak czegoś, cobym nazwała konsekwencyą artystyczną. Nawiasowo dodam, iż brakiem tym odznaczają się wszystkie dzieła poczęte na zimno, nie będące owocem tej dziwnej pracy ducha, którą wyraz „natchnienie” może nie zupełnie właściwie tłómaczy.

Jako pomysł „Przeszłość grzesznika” wydaje mi się chybioną. Jako obraz, jako kombinacya barw i świateł jest rzeczą bardzo ładną. Tyle barw, tyle odcieni splótł artysta w całość tak harmonijną, że zapomniawszy o treści, długo rozkoszować się można, to złocistą zasłoną pierwszej z dziewic-kusicielek, to purpurową szatą starca, na której kładą się prześliczne jaskrawoczerwone światła, to zmienną zielenią fal morskich lub różowymi blaskami padającymi na ciała, włosy i śliczne twarzyczki niektórych z tych siedmiu grzechów-widm.

Pewien odłam krytyki malarskiej jako objaw barbarzyństwa potępia zatrzymywanie się nad treścią obrazu. Malarstwo nie jest literaturą — powiadają przedstawiciele tego kierunku, — inne stawia sobie zadania, innymi środkami dąży do ich urzeczywistnienia. Dzieło pędzla tylko w zakresie zadań i środków czysto malarskich, może być poddawanem krytyce.

Byłaby w tem cała słuszność, gdyby ze sztuki malarskiej mógł być wyłączony zupełnie pierwiastek literacki. Tak jednak nie jest. Każdy obraz jest kawałkiem literatury, a są i takie jak np. „Przeszłość grzesznika,” w których artyści podejmują motyw literacki nawet bardzo skomplikowany.

Motyw ten więc niezależnie od malarskiej strony obrazu może być poddany analizie.

Wogóle kreślenie takich stanowczych granic między sztukami pięknemi, wydaje mi się przeciwnem duchowi czasu, który we wszystkich dziedzinach życia i myśli dąży do pewnej syntezy.

Salon Krywulta mieści od kilku tygodni wystawę obrazów Stanisława Masłowskiego. Takie wystawy zbiorowe mają wiele dobrych stron, pozwalają objąć jednem spojrzeniem drogę, po której kroczy talent malarza, pochwycić charakterystyczne cechy jego twórczości, jednem słowem wyrobić sobie niejakie wyobrażenie o duchowej fizyognomii artysty.

Z tego, co mówią zebrane u Krywulta obrazy, mamy prawo wnosić, że twórca ich to dusza niespokojna, rzucająca się w rozmaitych często wprost przeciwnych kierunkach — melancholijna, rozmiłowana w tęsknym krajobrazie stepowym, lub mazowieckiej równinie, chwilami zwracająca się w przeszłość, która jawi się przed nią niby widzenie gorączkowe, wielka, płomienna, o kształtach niezwykłych, o barwach gorących. Jest w obrazach Masłowskiego wiele głębokiego od czucia natury, mistycyzmu, poezyi; wieje z nich jakieś tchnienie swojskie i mową dobrze znaną do duszy widza przemawia.

Obok „Tańca Kozaków” obrazu wykończonego po akademicku, pełnego spokoju, poprawnego, ale nie odznaczającego się żadną oryginalnością, wisi „Mickiewicz i Maryla” ów „Mickiewicz” o którego w swoim czasie prasa warszawska kruszyła pióra. Zdaje mi się jednak, że zarówno przeciwnicy, jak obrońcy nie zdawali sobie dokładnie sprawy z tego, że to nie jest wcale obraz historyczny.

Mój czytelniku, wyobraź sobie, proszę, że znajdujesz się gdzieś w owych stronach, kędy poeta spędził młodość swą „górną i chmurną,” ot w Tuhanowiczach np. Słońce zaszło i zorze czerwone podniosły się nad ziemią; wieczór letni, cisza... Stary wiąz na którego liście padają jeszcze odblaski słońca, co zaszło przed chwilą, odblaski owej sławy, co się niby zorza purpurowa nad mogiłą olbrzyma poezyi podniosła, stoi nieruchomy. Chwila jest dziwna, jakieś rozmarzenie mistyczne cię ogarnia. W tej ciszy słyszysz jakieś głosy, w tem powietrzu przejętem blaskami, w tych mgłach wieczoru widzisz jakieś postacie... ot tam, na ławeczce, pod wiązem dwa cienie, para kochanków, jak niegdyś, przed laty...

Tę chwilę, tę hallucynacyę swoją pochwycił artysta, i nim mary zniknęły utrwalił na płótnie.

A teraz zwróćmy się ku przeciwległej ścianie. Co za szalona orgia czerwonych barw?! Krwawym płomieniem goreje jakieś zapalone domostwo, niby duchy piekielne uwijają się dokoła postacie żołnierskie, rumiane całe, jakby wyszły z płomieni. Na pierwszym planie pędzi trzech szwoleżerów, unosząc ze sobą jakąś dziewczynę. Twarze wojowników są pąsowe, jakby oświetlała je łuna pożaru, co jednak nie może mieć miejsca, bo pędzą w przeciwnym kierunku, tuman, który podnoszą kopyta ich rumaków, jest czerwony. W dali nad zatoką, odblaskiem łuny płonią się szczyty jakichś *Sierrów*. Bo to epizodowi z napoleońskiej epopei nadał artysta ten szalony, pożarny koloryt.

Powiedziałam, że Masłowskiemu przeszłość jawi się w kształtach kolosalnych, w barwach gorących. Tu mamy tego dowód. Od zarzutu przesady nie podobna obronić tego obrazu. Przesadny jest i w kolorycie i w rysunku, zwłaszcza koni. Ale jest w nim ruch, siła. Zdaje ci się, że czujesz woń prochu i dymów pożarnych, że słyszysz gwar bitwy i tętent kopyt końskich. I zaczynasz rozmyślać, jak to gwałtownie w takich chwilach musiały bić serca tych ludzi, jak szybkim tętnem pulsowała krew w ich żyłach, i zaczynasz rozumieć, że to dla oddania charakteru tej epoki użył artysta barw tak jaskrawych.

W utworach Masłowskiego z lat ostatnich nie spotykamy się już nigdzie z tym kolorytem gwałtownym, namiętnym, którym odznacza się „Porwanie” i „Mickiewicz.” Artysta wpada w jakieś tony mglisto-niebieskawe, lub powraca do maniery pierwszych prac swoich.

Przeważnie oddaje się krajobrazowi i słusznie, gdyż jest to, jak się zdaje, najodpowiedniejsze dla talentu jego pole. Nastrój melancholijny z małymi wyjątkami przenika wszystkie nowsze prace jego.

Pośród drobniejszych obrazków Masłowskiego zauważyłam jeden, który zrobił na mnie szczególne wrażenie. Nie ma na nim nic prócz jednej sosny o rozłożystych gałęziach.

Ale, ile w tej sosnie wyrazu.

Czytelniku, jeżeliś ty kiedy widział drzewo, co z całej puszczy samo jedno zostało na wyrębie, to patrząc na tę sosnę, odgadniesz, że ona właśnie takiem drzewem-sierotą.

I marzyć będziesz, że kiedy wicher pędzący od pustych pól nią zatrzęsie, w szumie jej słychać skargi niezmierne i żale, albo że w noce księżycowe ze wszystkich stron zlatują do niej duchy, upiory blade, a nad nimi stara sosna-samotnica „konarami, gałęziami, przeciąga się w wietrze.”

H. C.

Prawo własności intellektualnej.

Zebrany obecnie w Paryżu kongres rozpatrujący prawa własności literackiej i artystycznej, budzi żywe zajęcie w sferach inteligencyi Europejskiej. Smutne to bardzo są te koleje, któremi kroczyła przez wieki całe twórczość ludzka, zanim dobiła się za dni naszych jakiegoś przecież uwzględnienia i opieki prawa, jakkolwiek zainteresowani bezpośrednio i dziś jeszcze zaledwie w części jakiejś zabezpieczonymi się czują.

Historycznego przebiegu i stopniowego wywalczania praw autorskich dać oczywiście w tym pobieżnym szkicu nie podobna, ograniczymy się przeto do treściwego przedstawienia obecnego stanu kwestyi.

Pomimo, że prawo autora do jego utworu wydaje się prostem, jasnem i niepodlegającem wątpliwości żadnej, bardzo są aż dotąd rozmaite zapatrywania jednostek, a nawet prawodawstw Europejskich na to co się określa terminem: prawo własności intellektualnej. Zdawałoby się, że umysł, którego nie zamroczyły obłędne sofizmaty co do prawa własności i słuszności dziedziczenia, zdawałoby się, że umysł taki pojęcie o tem, do kogo należy utwór literacki czy artystyczny stanowczo rozstrzygnąć sobie powinien na korzyść autora. Tymczasem jest tu dużo sprzecznych zapatrywań, wiele bardzo rozróżnień, pozbawionych zupełnie podstawy, a pomimo to obowiązujących zarówno w teoryi jak w praktyce. Malarz i rzeźbiarz są właścicielami nieograniczonymi płodów swego pędzla czy dłuta, podczas gdy utwór

literacki wedle jednych nie powinien wcale stanowić własności wyłącznej autora — wedle innych uważanym być może za własność, ale tylko przez pewną oznaczoną ilość lat.

Malarz i rzeźbiarz mogą obraz lub statuę pokazywać za opłatą przez lata całe, a potem sprzedać, gdy taka będzie ich wola; literatowi dozwolono dzisiaj nareszcie korzystać ze swego utworu, ale przez ciąg lat pięćdziesięciu tylko, poczem dzieło jego staje się własnością ogółu wedle jednych—niczyją zdaniem innych, a w gruncie rzeczy — przedmiotem spekulacyi dla pierwszego lepszego handlarza, który korzysta z pojęcia prawa o rzeczy niczyjej (res nullius) i prawem pierwszego, który na niej rękę położył, obejmuje ją w posiadanie.

Nie ma w tem słuszności żadnej. Bo jeżeli użyteczność wyprodukowana jest niezaprzeczenie moją, moich dzieci i wnuków własnością, jeżeli z tytułu istoty samej posiadania nie przychodzi mi do głowy kwestyonowanie czyjegoś prawa do jego ziemi, lasu, wody, domu, fabryki — wogóle nieruchomości czy ruchomości jakiejkolwiek, zapracowanej, kupionej czy wytworzonej; jakimże ja sposobem mógłbym stawiać zastrzeżenia jakieś tam, gdzie chodzi o coś najmocniej indywidualnego — o część istoty moralnej człowieka— o utwór jego geniuszu czy talentu jednem słowem.

Takby się zdawało, a jednak nie jest tak, a raczej jest przeciwnie. Własność literacka przez wieki całe ignorowaną albo pomijaną była zupełnie, przedruki i plagiaty używały i używają dziś jeszcze bezkarności w przeważnej liczbie wypadków, a nareszcie, gdy jedne narody wzięły się nieco gorliwiej w opiekę prawo autora, inne trzymają się na uboczu, dopuszczając u siebie tłumaczeń nietylko krzywdzących autora materyalnie, ale nadto karykaturujących bardzo często dzieło samo z winy nieudolnego literackiego robotnika.

Ten ostatni właśnie zarzut stawia bardzo stanowczo Emil Zola w liście swoim do „Figara," ogłoszonym w przeddzień otwarcia kongresu.

Konferencya dzisiejsza bierze za punkt wyjścia konwencyą Berneńską, zawartą przed dziesięciu laty. Udział w obradach biorą przeważnie prawnicy i nad tem także ubolewa powieściopisarz francuzki, że najbliżej zainteresowanych a zatem literatów, nie ma na kongresie prawie wcale. Udział czynny przyjęły: Niemcy, Hiszpania, Włochy i Anglia, zresztą Czesi, Portugalczycy, Norwegia, Brazylia, ale to zupełnie jeszcze nie zadawalnia autora Rougon-Macquart'ów; jemu szczególnie chodzi o usunięcie się od uczestnictwa w kongresie Rossyi i Stanów Zjednoczonych i sam przyznaje, że to są względy osobiste, albowiem tam jego utworów tłómaczy się najwięcej i jak on utrzymuje — najgorzej.

Wogóle między tymi, którzy należą do konwencyi literackiej i artystycznej panuje przekonanie, iż stać na zewnątrz tej ugody jest ze wszelkich względów niemoralnie i że wszystkie sofizmaty, którymi chcą tacy upozorować swoją chęć zysku, są bardzo mało warte.

Bezstronnie biorąc rzeczy, nie można wistocie powiedzieć, aby słuszność mieli za sobą ci, którzy głoszą, że wielcy autorowie i artyści są własnością całej ludzkości, i że nie byliby oni wcale godnymi wielkiego wywyższenia i wielkiej chwały, gdyby nie chcieli przyświecać całemu światu na podobieństwo słońca.

To są bardzo piękne słowa, ale nie idzie zatem, żeby to słońce reprezentowane tym razem przez żywe ludzkie organizmy, odsądzać od chleba powszedniego, a natomiast uprawiać rozdrapywanie przez zgraję handlarzy i tłómaczy cudzej własności niezaprzeczonej.

Inne argumenty przeciwników prawa dla własności intellektualnej nie są lepsze. Ci, którzy deklamują że idea należy do wszystkich, powinniby właściwie mówiąc dodać: do wszystkich, z wyjątkiem tego w którego głowie się poczęła. To samo da się powiedzieć o przytaczaniu jako przykładu Ewangelii, którą można dowolnie przedrukowywać bez opłacania się komukolwiek za ten przywilej.

To są wszystko tylko obłudne wybiegi, a gruntem rzeczy jest chęć ciągnięcia zysków, których legalnymi, naszem przynajmniej zdaniem, nazwać nie można.

Jakbyśmy też wyszli na konwencyi my osobiście? Boć to jest zawsze punkt zapatrywania, który koniecznie nasunąć się musi, kiedy się na świecie traktują ważne sprawy i rozstrzygają trudne a zadawnione spory.

Przedewszystkiem stałoby się zadość prawu i słuszności, a to jedno powinnoby przeważyć wszelkie inne względy, ale i z tych innych względów byłoby prawdopodobnie lepiej niż jest. Zmniejszyłaby się produkcya tandety belletrystycznej—raczej szkodliwej jak pożytecznej, a do tłómaczenia arcydzieł znaleźliby się z pewnością pracownicy tacy jak Faleński i Sulicki tłómacze Wiktora Hugo, i Kraszewski tłómacz Méry'ego.

Co zrobi kongres paryski powiemy w swoim czasie.

K.

TO I OWO.

✻ Stowarzyszenie przeciw użyciu alkoholu zawiązane świeżo w Paryżu, odbyło w końcu upłynionego miesiąca swoje pierwsze posiedzenie. Prezydujący Siegfried w przemowie inauguracyjnej wykazuje konieczność zawiązania się ligi wobec spustoszeń szerzonych przez użycie napojów wyskokowych i przedstawia cyfry, które są tak wymowne, że mogą się obejść bez komentarzy. Oto niektóre ważniejsze z pomiędzy nich:

W r. 1831 miała Francya ludności 31,858,000. W tym roku było na całym obszarze kraju razem z jego stolicą 281,847 handlów spirituialiami, to znaczy wypadał 1 handel na 113 mieszkańców.

W roku 1893 na 38,000,000 ludności było takich handlów 421,233 na prowincyi i po miastach a dodawszy do tego 30,000 różnego rodzaju zbytkowniejszych i mniej zbytkownych szynków, które ma Paryż, wypadnie nam całość 451,233 handelków wyrobów alkoholicznych, co daje stosunek 1-go zakładu pijaczego na 84 mieszkańców.

Równolegle z tym zwrotem ku gorszemu, liczba obłąkanych, która we Francyi w peryodzie od 1830 do 1839 roku dała przeciętną cyfrę 3,4 obłąkanych na 10,000 mieszkańców, wzrastała ciągle, aż dosięgła w roku 1892 stosunku 15,3 na 10,000 ludności. W całości liczba cierpiących umysłowo wynosiła w peryodzie od 1830—1839 roku 11,524, a w roku 1892 miała Francya obłąkanych 58,753.

Jakiekolwiek mogły tu być przyczyny postronne, które w tym niezmiernym przyroście chorób umysłowych odegrały swoją rolę, z pewnością i alkoholizm bez winy nie jest.

✻ Lasy Rio Grande de Sul obfitują w roślinę (należącą do rodziny Therebintaceae) o misternie powycinanych liściach, która z tego względu ostatniego chodowaną bywa w ogrodach Porto Alegre, która jednak, jak obserwacya okazała, bez pewnego niebezpieczeństwa zbliżać się nie pozwala do siebie. Zwie się ona Arocira i ma własność wydzielania z siebie żywicy lotnej wywołującej zapalenie naskórka, bardzo zbliżone powierzchownie do tego jakie widzimy w cierpieniu róży. Po kilku dniach obrzmienia skóra pęka, a z obrzękłej części ciała wypływa woda. Widziano całą rodzinę niemiecką, która z liści rośliny uwiła wieniec dla kościoła, podlegającą symptomatom opisanym powyżej, a nawet młody chłopiec, który siedział w cieniu tego krzewu uległ jego wpływom jadowitym.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 18, na str. 141, szpalcie środkowej, wierszu 4-ym od dołu. W cytacie zamiast: *od tej profesyi*. Czytaj: od tego profesyi.

Odpowiedzi od redakcyi.

W-ny Okt... Hn... w Czerniot. Pismo o które sz. pan pyta nie wychodzi.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Najpierwsza Szkoła Kroju i Szycia
EMILII EHRENKREUTZ
uczennicy Worth'a, wykwalifikowanej mistrzyni
CECHU,

45711

w Warszawie, Zgoda Nr 3, Chmielna Nr 24,

Zawiązawszy stosunki z pierwszorzędnemi szkołami w Paryżu, oprócz ogólnych w Warszawie wykładanych systemów kroju, wprowadziłam w mej szkole **obznajmianie z najnowszemi fasonami i modelami mód, z chwilą ukazania się takowych w Paryżu.** Po ukończeniu kursu wydają się Patenta Cechowe. Pensyonarki przyjmuję.

MAGAZYN
Juliusza Panzer
1. WIERZBOWA 1.

poleca w wielkim wyborze świeżo nadesłane z Paryża:

WSTĄŻKI Chiné, Pompadour, Ombré, Arc-en-ciel.
WOALKI siatkowe, nowe desenie. — Woalki do prania.
FICHUS koronkowe, Żaboty, Peleryny koronkowe.
PELERYNKI, dziecinne ubrania i kapelusze. 45511
GALONY *i tiule paillelé, Kołnierze, Przybrania.*

Wyłączna sprzedaż beretów francuzkich.

UWAGA. Magazynom i Pracowniom odstępnje odpowiedni rabat.



Pierwszorzędna Szkoła Kroju i Szycia
w Warszawie, Nowo-Senatorska Nr 2,
K. GŁODZIŃSKIEGO,

wykwalifikowanego nauczyciela specyalisty, który powróciwszy z zagranicy i zwiedziwszy pierwszorzędną stolicę mody, szkoły swoje postawił tak, iż równać się z niemi mogą jedynie pierwszorzędne instytucye zagraniczne; pod względem praktyczności i nowości w wykładach nauki. K. G. opracował i wydał w językach: polskim i russkim **Automat czyli Metodę poglądową** do momentalnego wykrawania i pasowania form różnych fasonów bez pomocy nauki. Ostatnie wydania: najnowsza uproszczona metoda kroju w jęz. polskim i rus. na nowo opracowana, zawiera wzory sukien, wszelkich paltotów i okryć **ostatniej mody paryskiej,** podług których skrojone fasony leżą znakomicie; podręczniki te pod względem uproszczonej nauki i nowości wyprzedziły dotychczasowe zagraniczne. W szkołach K. G. ukończyło naukę przeszło 10,000 osób i prowadzą pracownie i szkoły kroju w Warszawie, Cesarstwie i za granica. Na kursa uczennice przyjmują się codziennie. **Po ukończonej nauce otrzymują patenta cechowe. K. Głodziński,** nagrodzony **medalami** złotemi i srebrnemi za wzorową naukę i najlepsze podręczniki. 44912

ZAKŁAD FORM PAPIEROWYCH
PARYZKICH
„MAISON PHENIX"
ulica Niecała Nr 12, w Warszawie.

otrzymał na bieżący sezon świeże eleganckie modele okryć damskich. W tymże zakładzie udzielają się lekcye kroju metodą francuską i przyjmuje się wszelka krawieczyzna, wykonywana podług najwykwintniejszych żurnali paryskich.

Zakład egzystuje od roku 1870. 45113

JÓZEF SKWARA
14. NIECAŁA 14.
(Pierwszy dom od Ogrodu).

Poleca nowe fasony okryć damskich, peleryny od rs. 5, żakiety od rs. 12, burki Himalaja od rs. 15, rotundy empire od rs. 19, barankowe od rs. 30, oraz znajdujący się w magazynie na składzie zapas materyałów krajowych i zagranicznych, praktycznych i modnych, z których przyjmuje zamówienia i wykonywa w jak najkrótszym czasie. 45016



MY WSZYSTKIE
używamy do naszych GRZYWEK I BRWI TYLKO NOWEJ BRYLANTYNY „*ADONIS.*"

Sposób użycia przy flakonie. Świad. Warsz. Rady Lekar. Nr 4268/4415.

43656

Biuro Nauczycielskie
JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ
3391926

nauczycielki 2-go gimnazyum. Szkoła Froeblowska. **W Warszawie, Wspólna 40.**

5. ŻABIA 5.
NOWY MAGAZYN GŁÓWNY
R. DĄBROWSKI.

Poleca po cenach nizkich największy wybór Kapeluszy Damskich i Dziecinnych, oraz Kapotek ubranych najwykwintniejszym gustem. 44813

BIURO NAUCZYCIELSKIE
Felicyi Ginejko *przy zakładzie froeblowskim* *Jadwigi Chrząszczewskiej*

w Warszawie, Nowy-Świat Nr 21. 45218



Doz. przez Urząd Lek. za N. 2261 na ogól. zas. hand.

Lanol przeciw **PIEGOM i PLAMOM** słoik rs. 1, z przes. rs. 1,50.

Calamina przeciw **ŁUPIEŻOM i WYPADANIU WŁOSÓW.**

Skład: Warszawa, Mokotowska 52 u Klimeckiego i wielu handlach w Warszawie i prowincyi.



Uwaga: Niektóre podrzędne sklepy, żądającym Lanolu, sprzedają za takowy różne wyroby z lanoliny, nie mające nic wspólnego z Lanolem. Aby uniknąć nadużyć, żądać:

Lanol — Klimeckiego. 43856



Od 50 kop.
tygodniowo wynajmuję nowe maszyny do szycia najnowszych systemów.

Największy wybór.

Sprzedaż na raty na najdogodniejszych warunkach. 45312

Główny skład: DZIKA Nr 20.

Z szacunkiem I. TAGSZEIN.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3**-ch **MIESIĄCACH,** po angielsku w **24**-ch **LEKCYACH.** Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60 Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70 **„SAMOUCZEK" POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKO NIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) **ZŁOTA 6, w Warszawie.** 418524

RĘKAWICZEK
NAJWIĘKSZY WYBÓR

Letnich i Skórkowych

Chmielna 3, m. 20 (I piętro). 454110

Warszawa, ulica DŁUGA № 5.



TELEFONU № 772.

WINA ZAGRANICZNE,

Koniak „IMPERIAL."

Wybór wielki.— Ceny najniższe. 417726